

OSAKU DAZAI



ZAKUJENIE

CZY  
TEL  
NIK



# Osamu Dazai Zatrącenie

Przełożył z japońskiego  
Henryk Lipszyc

Czytelnik

Tytuł oryginału

人間失格

*Ningen shikkaku*

Okładkę i kartę tytułową projektował

Patryk Mogilnicki

Redakcja

Katarzyna Heidrich-Żurkowska

Bianka Dziadkiewicz

Redaktor techniczny

Bożena Ławnicka

Publikacja dofinansowana  
przez Fundację im. Takashimy



© Copyright for the Polish translation  
by Henryk Lipszyc, 2015, 2020

© Copyright for the Polish edition  
by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2015, 2020

ISBN 978-83-07-03476-8

## WSTĘP

Widziałem trzy fotografie tego mężczyzny.

Na pierwszej mniej więcej dziesięcioletni chłopiec stoi nad ogrodowym stawem w otoczeniu licznej grupy kobiet, dziewcząt, prawdopodobnie jego starszych i młodszych siostr i kuzynek. Jest w plisowanych spodniach *hakama* z materiału w szerokie pasy, głowę przechyla w lewo pod kątem około trzydziestu stopni i wykrzywia twarz w brzydkim uśmiechu. Brzydkim? No tak, ktoś niewrażliwy na urodę mógłby rzucić zdawkowo: „Ach, jaki uroczy chłopczyk!”. Zapewne można by dopatrzeć się w tej uśmiechniętej twarzy jakiegoś śladu „uroku”, jednak każdemu choć trochę obeznanemu z pięknem dość byłoby raz spojrzeć na tę niby wdzięczną postać, by burknąć: „Co za paskudny dzieciak!”, odrzucić zdjęcie ze wstrętem tak, jak się strzepuje obrzydliwego robaka.

Wystarczy uważniej przyjrzeć się uśmiechniętej twarzy dziecka, by poczuć odrazę. Bo to nie jest twarz uśmiechnięta. To dziecko wcale się nie śmieje. Świadczą o tym choćby mocno zaciśnięte pięści chłopca. Ludzie nie śmieją się z zaciśniętymi pięściami. To małpa. Uśmiech małpy. Wykrzywiona w obrzydliwym grymasie twarz. Jej utrwalony na zdjęciu wyraz mógłby przypaść o mdłości, tak bardzo odpychające było pomarszczone oblicze chłopca. Nigdy przedtem nie

widziałem dziecka o tak nieodgadnionym wyrazie twarzy.

Na drugiej fotografii twarz jest zmieniona nie do poznania. Zdjęcie przedstawia ucznia albo studenta, może z czasów licealnych, a może uniwersyteckich, ale chłopak jest na nim uderzająco przystojny. Chociaż i w tym przypadku jakoś dziwnie nie mamy wrażenia, że patrzymy na żywego człowieka. Ma na sobie mundurek z wystającą z górnej kieszonki chusteczką, siedzi na wiklinowym krześle z nogą założoną na nogę, no i – oczywiście – uśmiecha się. Tym razem nie jest to jednak uśmiech mały o pomarszczonej twarzy, lecz starannie wystudiowany uśmieszek, i jest w nim coś, co nie pozwala uznać go za naturalny ludzki uśmiech. Brak mu jakiejś mięsistości, solidności, cielesnej rzeczywistości ludzkiego życia. Postać lekka nawet nie jak ptaszek, co najwyżej jak ptasie piórko, jak kartka papieru, no i uśmiecha się. Wszystko w najdrobniejszym szczególe wystudiowane. Pozer, zgrywus, lalusz – nie, to wszystko nie to. Z pewnością nie można tego nazwać elegancją. A gdy przyglądamy się uważnie, zaczynamy dostrzegać w sylwetce tego ucznia-przystojniaczka coś upiornie odpychającego. Nigdy przedtem nie zdarzyło mi się widzieć przystojnego młodzieńca o tak zagadkowym wyglądzie.

Ostatnie, trzecie zdjęcie było naprawdę przerażające. Głowa wydaje się przyprószona siwizną, choć wieku tej postaci trudno byłoby się domyślić. W okropnie zaniedbanym pokoju (na zdjęciu widać wyraźnie, jak w trzech miejscach osypuje się ze ściany tynk) siedzi w kącie człowiek, grzeje ręce wyciągnięte nad niewielkim grzejnikiem, ale tym razem nie uśmiecha się. Twarz pozbawiona wyrazu. Miałem dziwne wrażenie,

że na tej przejmującej fotografii widzę kogoś nieżywego, że to trup z wyciągniętymi nad grzejnikiem rękoma. Nie tylko to było dziwaczne. Ponieważ twarz na zdjęciu była dość duża, mogłem dokładnie przyjrzeć się jej rysom. Czoło pospolite, zmarszczki na czole zwyczajne, brwi zwyczajne, i oczy, i nos, i usta, i broda – wszystko w tej twarzy pozbawione było wyrazu, nic jej nie wyróżniało. Ot, patrzę na fotografię, zamykam oczy i – już tej twarzy nie pamiętam. Pamiętam ściany, widzę kształt grzejnika, ale obraz twarzy gospodarza tego pokoju całkowicie znikł i w żaden sposób nie mogę go sobie przypomnieć. Twarz, której nie da się namalować, narysować w komiksie ani w żaden inny sposób przedstawić. Otwieram oczy, patrzę – ach, to tak, to tak ona wyglądała – i nawet nie odczuwam satysfakcji, że ją pamiętam. Właściwie to nawet po otwarciu oczu i ponownym spojrzeniu nie można było sobie tej twarzy przypomnieć. I z niesmakiem i irytacją odwracało się wzrok.

Już nawet portret pośmiertny ma w sobie więcej wyrazu, pozostawia jakieś wrażenie. A tu – hm, może gdyby nasadzić na korpus człowieka łeb pociągowego konia, uzyskałoby się podobny efekt – sam nie wiem. W każdym razie z jakiegoś powodu widok był odpychający, budził niesmak u patrzącego. Nigdy nie widziałem równie tajemniczej, nieprzeniknionej twarzy mężczyzny.

## DZIENNIK PIERWSZY

Mam za sobą życie przepełnione wstydem.

Nie wiem, na czym polega ludzkie życie. Urodziłem się na wsi daleko na północy i pierwszy pociąg zobaczyłem, kiedy miałem już sporo lat. Wbiegałem i zbiegałem z wiaduktu nad torami, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, że ma on praktyczny cel, że służy do przechodzenia z peronu na peron. Myślałem, że zbudowano go specjalnie po to, by uatrakcyjnić dworzec, wyposażając go – na wzór zagranicznych centrów rozrywkowych – w nowoczesne, eleganckie urządzenia pomyślane dla czystej przyjemności. Byłem o tym przekonany bardzo długo. Uważałem wbieganie i zbieganie z wiaduktu za świetną zabawę, najbardziej wyszukane dobrodziejstwo, jakie oferowała kolej. A kiedy odkryłem później, że to najzwyklejsze, mające praktyczny cel urządzenie służące pasażerom do przechodzenia między peronami, mój zapał od razu minął. Kiedy oglądałem na ilustracjach w książeczkach dla dzieci kolej podziemną, byłem pewny, że wymyślono ją nie ze względów praktycznych, ale dlatego, że jazda pod ziemią jest o wiele ciekawszą, oryginalniejszą rozrywką.

Jako dziecko byłem bardzo chorowity i wiele czasu przeleżałem w łóżku. Leżąc, dziwiłem się, dlaczego poszewki na poduszkę i koperty na kołdrę muszą



być tak beznadziejnie brzydkie, a kiedy w wieku około dwudziestu lat zrozumiałem, do czego służą, ogarnął mnie głęboki smutek na myśl o tym, jak żałośnie przyziemnymi istotami są ludzie.

Nie znałem uczucia głodu. Rzecz nie w tym, że w domu, w którym dorastałem, jedzenia było pod dostatkiem, nie, nie w tym banalnym znaczeniu. Po prostu nie wiedziałem, co to znaczy być głodnym. Dziwnie to zabrzmiało, ale nawet jeśli byłem głodny, nie zdawałem sobie z tego sprawy. Kiedy wracałem ze szkoły – czy to z podstawowej, czy z gimnazjum – domownicy witali mnie słowami: „O, pewnie jesteś głodny, co? Dobrze pamiętamy to potworne uczucie głodu, kiedy się wracało ze szkoły”. I robiło się poruszenie: „To może zjesz trochę fasolki *natto* na słodko, albo weź sobie biszkopt, patrz, jest tutaj, a może kawałek chleba, nie chcesz?” – i tak dalej w tym stylu. Na co ja, swoim zwyczajem próbując zadowolić innych, burczałem: „Tak, jestem głodny”, i na siłę wpychałem sobie do ust parę ziaren fasoli. Ale co to jest prawdziwe uczucie głodu, nie miałem zielonego pojęcia.

Jeść, rzecz jasna, jem, i to całkiem sporo, ale prawie sobie nie przypominam, abym kiedykolwiek sięgnął po jedzenie dlatego, że czułem głód. Pociągają mnie potrawy uchodzące za oryginalne, za rarytasy. Kiedy jestem u kogoś z wizytą i gospodarze czymś częstują, zazwyczaj także zjadam, nawet jeśli trochę z musu. Tak, najprzykrzejsze chwile zapamiętane z dzieciństwa to była pora posiłków we własnym domu.

U nas na wsi cała nasza dziesięcioosobowa rodzina siadała za stołem w dwóch rzędach naprzeciw siebie, a ja, jako najmłodszy, na samym końcu. W jadalni panował półmrok i widok kilkunastu domowników

spożywających w milczeniu obiad zawsze przejmował mnie chłodem. Ponieważ pielęgnowano u nas dawne wiejskie obyczaje, jadłospis był ustalony, zawsze ten sam, nie można było nawet marzyć o żadnych przysmakach czy wyszukanych daniach. W końcu zacząłem bać się pory posiłków. Trzęsąc się z zimna na końcu stołu w ponurym pokoju, nabierałem po trochu jedzenie i wpychając je do ust, zastanawiałem się, dlaczego ludzie muszą dzień w dzień regularnie jeść. Przychodziło mi nawet czasem na myśl, że członkowie rodziny, którzy schodzą się w ponurym pokoju trzy razy dziennie o ustalonych godzinach, zajmują wyznaczone miejsca wokół stołu i z poważną miną, nawet jeśli nie odczuwają głodu, w milczeniu przeżywają jedzenie, zachowują się tak, jak gdyby uczestniczyli w jakimś prześlągalnym obrzędzie dla błakających się po domu duchów.

Mówiono: „Musisz jeść, bo inaczej umrzesz”, a ja odbierałem to po prostu jako paskudną groźbę. Ten przesąd (bo zawsze uważałem, że to przesąd, i nadal tak uważam) napełniał mnie jednak niepokojem i strachem. Człowiek – powiadano – jeśli nie je, umiera, pracuje po to, żeby jeść. Brzmiało mi to wyjątkowo niezrozumiale i budziło lęk. Nie pojmowałem zatem, co skłania ludzi do działania. Zaczęło mnie to gnębić. Przeświadczenie, że moje wyobrażenie szczęścia zupełnie różni się z tym, jak postrzegają je inni, napełniało mnie obawą, dręczyło i nie dawało spać po nocach do tego stopnia, że byłem bliski szaleństwa. Czy ja jestem szczęśliwy? Odkąd pamiętam, od dzieciństwa zawsze mi wmawiano, że mam szczęście. Mówiono: „Ty to jesteś szczęściarz”, a ja czułem się, jakbym był w piekle, i wydawało mi się, że ci wszyscy, którzy

uważali mnie za szczęściarza, mają się znacznie, bez porównania lepiej.

Niekiedy myślałem sobie nawet, że gdyby z tych, powiedzmy, dziesięciu worków nieszczęść, które dźwiगाłem na barkach, ktoś wziął na siebie choćby jeden, toby się chyba pod nim załamał. Po prostu nie mogę tego pojąć. Nie potrafię zrozumieć charakteru ani rozmiaru cierpienia bliźniego. Zdawałoby się, że zwykłym życiowym problemom, konkretnym dolegliwościom da się dość łatwo zaradzić, na przykład najeść się do syta, zaspokoić głód. Możliwe jednak, że są one największymi udrękami, istnym piekłem, przy którym te moje dziesięć worków cierpienia jest niczym – tego nie wiem. Ale jeżeli moi bliźni są w stanie – nie odbierając sobie życia i nie popadając w szaleństwo, nie załamując się i nie ulegając rozpaczom – walczyć o przetrwanie i jeszcze rozprawiać o polityce, to czy oni naprawdę cierpią? A może stali się na wskroś egoistami i przekonani o słuszności tego wyboru, nigdy nie ulegli wątpliwości. Jeśli tak, jest im źlej. Ale zapewne ludzie już tacy są i lepsi nie będą. Sam nie wiem... Czy śpią nocą mocnym snem i budzą się rano w błogim nastroju? O czym śnią? O czym myślą, idąc ulicą? O pieniądzach? No, chyba nie tylko. Owszem, zdarzało mi się słyszeć, że człowiek żyje po to, żeby jeść, ale nie słyszałem, aby żył dla pieniędzy. Chociaż, czy ja wiem, może to zależy... Nawet tego nie wiem... Im dłużej myślę, tym mniej rozumiem i coraz większym niepokojem i przerażeniem przejmuję mnie myśl, że ja jeden jestem jakimś kompletnym odmieńcem. W ogóle nie umiem rozmawiać z drugim człowiekiem. Nie wiem, o czym mam mówić, ani jak, po prostu nie wiem.

No i wymyśliłem – będę błaznem.

Był to dla mnie ostatni już sposób na przypodobanie się ludziom. Sparaliżowany strachem przed drugim człowiekiem, nie mogłem przestać o nim myśleć. I oto dzięki błżeństwu udawało mi się znaleźć jakąś wątłą nić łączącą mnie z ludźmi. Umizgałem się z przyklepionym do twarzy sztucznym uśmiechem, a jednocześnie, zlany zimnym potem, czułem w głębi serca desperacki lęk, jak gdybym ocierał się o skrajne niebezpieczeństwo.

Jako dziecko nic nie wiedziałem nawet o moich najbliższych krewnych – ani czy im ciężko, ani jakie mają poglądy. I już wtedy, przerażony, nie wiedząc, jak sobie poradzić w tej nieznośnej sytuacji, opanowałem po mistrzowsku sztukę błżnowania. Inaczej mówiąc, nie wiedzieć kiedy stałem się dzieckiem, które nigdy nie mówiło prawdy. Na naszych wspólnych rodzinnych zdjęciach z tamtych czasów wszyscy mają poważne miny i tylko moja twarz wykrzywia się w dziwnym uśmiechu. Ot, jeszcze jeden przykład smutnej, młdzieńczej błżenady.

Ani razu nie zdarzyło się, bym odpowiedział na uwagę kogoś z dorosłych. Nawet błże upomnienie spadało na mnie jak grom z jasnego nieba i prawie odchodziłem od zmysłów ze strachu. Przekonany, że w tych upomnieniach zawarta jest jakaś odwieczna, nienaruszalna ludzka prawda, nie śmiałem się sprzeciwić, a skoro, myślałem, nie potrafię sprostać wymogom płynącym z tych prawd, po prostu nie zasługuję, by przebywać pośród ludzi. Toteż nie umiałem ani oponować, ani bronić się. Nabrałem przekonania, że kiedy ktoś mnie ruga, to na pewno wina jest po mojej stronie, i przyjmując pokornie te ataki, żyłem w strachu bliskim szaleństwa.

Rozumiem, oczywiście, że nikt nie lubi być obiektem krytyki albo gniewu, to nic miłego, ale ja w twarzy rozgniewanego człowieka widzę instynkt zwierzęcia straszniejszy niż u rozjuszonego lwa, krokodyla lub smoka. Zazwyczaj ów instynkt się maskuje, ale ilekroć widziałem człowieka, który powodowany gniewem ujawniał prawdziwą, przerażającą ludzką naturę – włos jeżył mi się na głowie. Na myśl o tym, że jest to zapewne jedna z cech koniecznych, aby przeżyć, byłem bliski załamania.

W nieustannym strachu przed ludźmi, bez odrobiny pewności siebie, chowając w sercu udrękę, skrywając melancholię i nieśmiałość, przyjąłem pozę beztroskiego optymisty i stopniowo doszedłem do perfekcji w odgrywaniu roli błazeńskiego dziwadła. Byleby zabawić ludzi, mniejsza o to jak, i w ten sposób znaleźć się samemu poza ich tak zwanym „życiem”, a to, sądziłem, nikomu nie sprawi chyba wielkiej różnicy. Żeby tylko nie narazić się swoją osobą, być nikim, być powietrzem, niebem – to pragnienie wzbierało we mnie nieustannie. No i, najlepiej jak umiałem, usłużnie zabawiałem moim błaznowaniem rodzinę, stawałem na głowie, żeby rozbawić nawet służących i służące, których rozumiałem jeszcze mniej niż członków rodziny. Pamiętam, rozśmieszałem kiedyś domowników, paradując w lecie po korytarzu w bawełnianym kimonku, spod którego wystawały rękawy z jaskrawoczerwonej wełny. Nawet najstarszego brata, zazwyczaj ponuraka, tak to wtedy ubawiło, że najpierw się zaśmiał, a potem powiedział nieznośnie czułym tonem:

– No wiesz, Yochan, tyś chyba na głowę upadł. Wyglądasz w tym jak wariat.

Jeszcze na tyle nie zwariowałem, żeby nie odróż-

niać zimna od gorąca i w środku upalnego lata chodzić w wełnianym swetrze. Po prostu podkradłem starszej siostrze wełniane getry, naciągnąłem na ręce tak, że wystawały mi z rękawów kimona i wyglądały, jakby to był sweter.

Ojciec, ze względu na liczne obowiązki, często wyjeżdżał do Tokio. Miał drugi dom w Sakuragi, w dzielnicy Ueno, gdzie spędzał ponad połowę każdego miesiąca. Kiedy wracał do domu, zawsze obdarowywał rodzinę, a nawet dalszych krewnych niezwykle hojnymi upominkami – taki miał zwyczaj. Któregoś wieczoru, w przeddzień kolejnego wyjazdu, zwołał do salonu wszystkie dzieci i z uśmiechem pytał każde z nas po kolei, co chciałoby tym razem dostać. Wszystkie odpowiedzi skrzętnie zapisywał w notesie. Ojciec rzadko bywał dla nas taki miły.

– No, a ty, Yozo? – zapytał, a mnie odjęło mowę.

Kiedy pytano mnie, co bym chciał, natychmiast traściłem chęć na cokolwiek. Wszystko jedno, myślałem, jak gdyby jakiś instynkt podpowiadał mi, że i tak nie ma takiej rzeczy, która sprawiłaby mi przyjemność. A jednocześnie nie umiałem odmówić przyjęcia prezentu, choćby nie wiem jak mi się nie podobał. Jeśli coś mi się nie podobało, nie umiałem tego powiedzieć, ale równie ciężkim przeżyciem było przyjęcie tego, co mi się podobało. Ogarniał mnie wtedy nieopisany lęk i podchodziłem do tej rzeczy niepewnie, z wahaniem, jakbym miał zjeść coś okropnie gorzkiego albo jakbym coś podkradał. Inaczej mówiąc, nie umiałem dokonać najprostszego wyboru w rodzaju „czy to, czy tamto”. Mam wrażenie, że była to jedna z tych przypadłości, które złożyły się na to, co po latach nazwałem „życiem przepelnionym wstydem”.

Przejęty milczałem, ojciec więc, nieco zirytowany, zapytał:

– To jak, pewnie książkę? A wiesz, widziałem, że w tym zaułku handlowym w Asakusie sprzedają maski z lwią grzywą, o rozmiarach w sam raz dla dzieci. Wiesz, takie, które się zakłada na głowę i tańczy noworoczny taniec lwa. Chciałbyś?

„Czy chciałbyś?” – jeśli ktoś tak zapytał, to koniec. No i nie zdołałem znaleźć żadnej błazeńskiej odpowiedzi. Aktor-błazen oblał z kretesem.

– Pewnie wolałby książkę – wtrącił z poważną miną najstarszy brat.

– Ach tak? – Ojciec, jakby w ogóle przestało go to obchodzić, zamknął z trzaskiem notes, niczego nie zapisując.

Ale się wygłupiłem, pomyślałem. Rozgniewałem ojca, a jego zemsta będzie okrutna. W nocy, dygocąc pod kołdrą, myślałem ze strachem tylko o tym, co zrobić, żeby jakoś uratować sytuację. Wstałem po cichu, poszedłem do salonu, wysunąłem z biurka szufladę, w której, jak wiedziałem, ojciec schował notes, wyciągnąłem go i kartkując, znalazłem stronę z zamówieniami na prezenty. Zwilżywszy językiem ołówek, wpisałem „taniec lwa” i poszedłem spać. Żadnej lwiej grzywy nie chciałem. Tak, wolałbym książkę. Ośmieliłem się zakraść nocą do salonu, bo dotarło do mnie, że ojcu samemu zależało, by kupić mi w prezencie maskę, więc pomyślałem z nadzieją, że poprawię mu w ten sposób humor.

Okazało się, że ten mój akt desperacji przyniósł idealnie zamierzony skutek. Siedziałem w dzieciennym pokoju, kiedy usłyszałem, jak ojciec, który wrócił właśnie z Tokio, głośno mówi do mamy:



*Czy ja rzeczywiście jestem, jak wszyscy mówią, egoistą? A może, przeciwnie, jestem całkowicie pozbawiony pewności siebie? Sam nie wiem, ale ponieważ składam się z samych wad, staję się przez to tylko coraz bardziej nieszczęśliwy i nie mam żadnego konkretnego pomysłu, jak powstrzymać to pogrążanie się w rozpacz.*

**Osamu Dazai** (właśc. Shūji Tsushima, 1909–1948) – kultowy pisarz japoński. Jego specyficzny sposób życia, niepokorny charakter, burzliwe związki miłosne oraz próby samobójcze stworzyły obraz do dziś niezwykle intrygującej postaci. Mimo krótkiego życia Dazai pozostawił po sobie bogatą spuściznę literacką: liczne opowiadania i kilka powieści. Najpoczytniejsze spośród nich – *Zmierzch* (1947) i *Zatrącenie* (1948) – są nadal żywo przyjmowane przez kolejne pokolenia Japończyków. Proza ta, mająca wyraźne podłoże autobiograficzne, pobudza czytelników do refleksji nad kształtowaniem się jednostki zarówno w relacjach z bliskim otoczeniem, jak i pod wpływem szerszych przemian społecznych i politycznych.

*Zatrącenie* to ostatni ukończony utwór Osamu Dazaia, opublikowany już po jego śmierci. Bohaterem powieści jest młody mężczyzna, imieniem Yozo, syn bogatego właściciela ziemskiego. Obdarzony bystrą inteligencją i licznymi talentami, nie potrafi jednak odnaleźć się w świecie. Jego życiem zawładnęły demony lęku, krytycyzmu i fałszywych wyobrażeń o samym sobie. Dokonuje więc zgubnych wyborów życiowych, zmierzając ku samozagładzie. W *Zatrąceniu* Dazai opowiada również o ówczesnej Japonii, kraju pokonanym w II wojnie światowej, do którego wkraczają zachodnie idee, zmieniające dotychczasowy ład. Powieść była wielokrotnie przedmiotem adaptacji filmowych – tak fabularnych, jak i animowanych – oraz komiksowych.

Niebawem ukaże się obszerny wybór opowiadań Osamu Dazaia *Owoce wiśni*.

[www.czytelnik.pl](http://www.czytelnik.pl)

ISBN 978-83-07-03476-8



9 788307 034768

DOSTĘPNA TEŻ JAKO  
**E-BOOK**